

w strejku najliczniejszym był właśnie udział czeladników tej kategorii. W ogóle zaś, pomimo dosyć długiego trwania strejku, a mianowicie 5 tygodni, pomimo, że strejk był rozpoczętym i trwał w czasie, gdy najmniej jest pracy, a więc majstrowie niezbyt byli do ustępstw skłonni, pomimo to wszystko robotnicy wytrwali przy swoim i wywalczyli żądane ustępstwa. Dzień roboczy został przez majstrów ograniczonym do 12 godzin i wymagana podwyżka płacy w niektórych działach została udzieloną robotnikom w całości, w innych zaś podwyższono płacę o 10%. Administracja starała się wyrzucić nacisk na strejkujących. P. policmajster, jak o tym urzędownie w «Wileńskim Wiestniku» było ogłoszone, wezwał do siebie majstrów i czeladników, zachęcał ich do zgody i obiecał, że w razie skargi z którejkolwiek strony będzie zmuszonym zastosować prawo o wydalaniu z miasta niesfornych żywiołów. Niższe zaś urzędy policyjne najzupełniej bezprawnie sadzały na pewien czas do kozy to jednego, to drugiego z pomiędzy robotników, niekiedy, jak powiadają, wprost za wskazówką majstrów, rozwścieczonych uporem pokornych dotychczas czeladników. Przy naszych nieokreślonych jeszcze stosunkach ekonomicznych, przy istniejącej przewadze drobno-rzemieślniczego wytwarzania, podobne strejki, silniej akcentujące klasową walkę proletariatu, muszą mieć ogromne moralne znaczenie na niewyrobionych jeszcze i nieuświadomionych robotników i mogą być środkiem agitacji wśród masy, osobliwie, gdy, jak w tym wypadku, kończą się zwycięstwem robotników.

Strejk u nas, gdzie ruch robotniczy zaczyna stawiać zaledwie pierwsze, niepewne jeszcze kroki, i strejk gdzie indziej, gdzie ten ruch szersze ma wśród mas podstawy, całkiem inne ma znaczenie. Dlatego też serdecznie podziękować należy towarzyszom robotnikom, którzy z wytrwałością strejk, rzecz u nas jeszcze nową, doprowadzili do końca.

GWAŁTY W KROŻACH

*Artykuł umieszczony w formie korespondencji
w «Przedświcie», grudzień 1893, nr 12, str. 21—22.*

Życie obywatela (jeżeli możemy do tej nazwy rościć pretensję) Kraju Zachodniego¹⁾ jest podobnem do życia psa, nie mającego gospodarza. Nie ma on nikogo, ktoby o nim pomy-

¹⁾ Kraj Zachodni — potoczna nazwa rusyfikatorska Litwy i Rusi.

ślał, zato wielu myśli, w jaki sposób mu krzywdę wyrządzić. Spotyka go też krzywda na każdym kroku. Tam go kto przez żart kopnie nogą, tu na serio go zleją warem, gdzie indziej uderzy go kto kijem, to znowu psy go pogryzą, i tak się ciągnie życie całe, składające się z jednych obelg i boleści. Do tego wszystkiego jesteśmy przyzwyczajeni, to nasz chleb powszedni. Ale niekiedy, gdy psa ze wszech stron osaczą lub gdy się za wiele nabiera goryczy, i pies się odgryza i zęby szczyrzy, a zdarza się nawet, że pokąsa. O! Wtedy dzieją się straszne rzeczy!

Do takich wypadków zaliczyć należy katastrofę w Krożach. Kroże, małe miasteczko w sercu Żmudzi, kraju fanatyzmu katolickiego, leży w gub. Kowieńskiej, pow. rosieńskim. Istniał tam klasztor z murowanym kościołem i parafialny drewniany, już dobrze podstarzały, kościółek. W roku zeszłym rząd postanowił zamknąć klasztor i kościół, do niego należący. Wywieziono więc stamtąd mniszki, nieledwie siłą, gdyż opierały się one władzy. Włościanie, przyzwyczajeni do kościoła klasztornego i mając na oku, że drewniany parafialny będzie wkrótce wymagał gruntownej naprawy, na co dość trudno uzyskać pozwolenie, wnieśli podanie do władzy o zostawienie im kościoła murowanego i zamknięcie w zamian drewnianego. Sprawa się przeciągnęła do ostatnich czasów, gdy uznano za stosowne włościanom odmówić i przystąpić do zamknięcia kościoła. Wieść o tym gruchnęła po okolicy i lud postanowił bronić swej świątyni. Kilka dni lud zalegał kościół i okolicę, nie rozchodząc się wcale. Jedzono i pito na miejscu.

Gubernator kowieński, p. Klingenberg, otrzymawszy stosowne polecenie od Orzewskiego, dał rozkaz trzem sotniom kozaków, kwaterującym we Wroniach ¹⁾, miasteczku, o kilka mil od Kroż odległym, stanąć w Krożach na czas umówiony, sam zaś, otoczony żandarmami i urzadnikami, przyjechał do Kroż w nocy i zaraz, sprowadziwszy księży, wyruszył ku kościołowi. Sprawnik miejscowy radził poczekać na kozaków, lecz gubernator, ufny w swe siły, kazał mu milczeć i słuchać swych rozkazów. Pod kościołem lud go spotkał. Przy drzwiach kościoła trzymano portret cesarza, broniąc nim wejścia do kościoła. Gubernator oznajmił, że przychodzi z polecenia jego cesarskiej mości, by zamknąć kościół, przypomniał ludowi wielkie dobrodziejstwa cesarskie i zalecił posłuszeństwo jego woli. Spośród ludu rozległy się okrzyki, że wykonywać wolę cesarską w nocy nie można, że zapewne nie jest on gubernatorem, lecz rozbójnikiem, że nie chcą oni dobrodziejstw, połączonych z zabieraniem kościoła. Gubernator dał rozkaz

¹⁾ Omyłka. Ma być — w Worniach (Wornie).

otworzenia kościoła siłą. Zaczęła się lekka utarczka przed drzwiami kościoła — z jednej strony nahaje i pałasze, z drugiej kije i kułaki. Zaczęto targać portret cara, wreszcie wyrwano go z ram i podarto. Lecz drzwi otworzono, pomimo, że liczebna przewaga ludu już przestraszyła napastników, i oficerowie żandarmerii, widząc, na co się zanosi, uciekli czym prędzej z miasteczka. Krew się połała, lud się rzucił na obrońców porządku; część wepchnięto do kościoła, część zaś druga została przed kościołem pastwą rozjuszonego ludu. Walka w kościele trwała dalej, dobrano się nakoniec do gubernatora. Kilka razy odebrało mu ostatecznie odwagę i pod eskortą księży, których lud nie ruszył, udało mu się wycofać na galerię do organów, zarazem zdążył dać rozkaz posłania czym prędzej do oddziału kozaków, by ten przyspieszył swe przyście do zbuntowanego miasteczka. Lecz fala ludu napierała silniej. Posypał się na gubernatora grad obelg i połajanek. Z drżeniem prosił on wciąż księży, by ci mówili «coś religijnego» ludowi. W końcu zaś, widząc, że to nie przelewki, zaczął z ludem wchodzić w umowę. Obiecał mu, że kościoła nie poruszą, że zaraz, wraz z księżmi, napisze on raport o tym. Zaczęła się scena oszukiwania ludu dla zyskania czasu. Gubernator, w oblężeniu obsypywany obelgami, zgadza się na wszystko. Posyłają po papier, atrament i pióro. Jako komiczny epizod w tej tragedii, przytoczyć można, że lud koniecznie wymagał, by papier był stemplowy, gdyż tylko wtedy sprawa będzie pewną. Gubernator i na to się zgodził.

Tym czasem kozacy przyspieszonym marszem nadchodzą i odrazu się rzucają na bezbronny lud, otaczający kościół. Zaczęła się nowa walka, lecz teraz już przewaga była po stronie gubernatora. Nahaje i szable robiły swoje, krwią oblaną kościół, trupy padały, jęki ranionych i pokaleczonych rozlegały się w murach i na podwórzu. Zwycięstwo w końcu odniesiono, i gubernator oswobodzony wszedł w swą zwykłą rolę. Rozwścieczony osobistą urazą i poniżeniem jego godności, daje rozjuszonemu żołdactwu łaskawe pozwolenie «pogulać» po zwycięstwie. Kozakom nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Rozpoczęły się straszne sceny gwałtów i grabieży. Co można, rabowano, co nie dawało się unieść, rąbano i niszczone. Pojedyncze kupy kozaków rozbiegły się po okolicznych wioskach i folwarkach, siejąc wszędzie postrach i zniszczenie. Rezultaty tej walki są następujące: zabito przeszło 50 ludzi, ściśle tej liczby określić nie można, przynajmniej teraz, gdyż oficjalnie o tym wypadku nie mówią, prywatne zaś relacje tak są rozmaite i chwiejne, że trudno z pewnością mówić o detalach ca-

łej sprawy; ranionych było więcej, niż setka ze strony włościan i około dziesięciu ze strony policji i kozaków. Nazajutrz zaczęła się egzekucja; siedmdziesięciu kilku włościan zbito strasznie nahajkami z rozkazu gubernatora, bez żadnego sądu. Doktor wojskowy był przy tej barbarzyńskiej egzekucji i trzymał palec na pulsie delikwenta, by oznaczyć chwilę, gdy bicie mogło być śmiertelnym; gubernator stał przy tym i od czasu do czasu rzucał rozkazy: «*bić silniej*», «*a chto, razbojnik ja, ili gubernator?*»

Obecny przy tym prokurator zwracał uwagę p. Klingenberga na to, że popełnia bezprawie, że on, prokurator, jako przedstawiciel prawa, nie może na to pozwolić i nawet patrzeć na to bez zgrozy nie może. «*Tak otwiernićeś!*»¹⁾ — brzmiała grubiańska odpowiedź rozbestwionego urzędnika. Prokurator został i tylko, gdy przyprowadzono na egzekucję czternastoletniego malca, siłą wyrwał go z rąk oprawców. Powiadają, że już niektórzy ze zbitych nahajkami umarli w więzieniu od otrzymanych razów. Zwycięstwo po stronie władzy: kościół opieczętowano, buntownicy są ukarani, a będą jeszcze karani za opór zbrojny, stawiany władzy.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia wypadek oburzającego gwałtu na zasadzie prawnej. Pogłoski o nim krążą głucho po całym kraju, wzbudzając wśród ludu, szczerze, a nawet fanatycznie katolickiego, niezadowolenie i oburzenie. Wątpię zatem, by krok energiczny p. Klingenberga wyszedł na dobre rządowi. Zresztą rozumie to sam rząd, gdyż zaraz po wypadku wysłano z Petersburga do Kowna naczelnika departamentu obcych wyznań ks. Kantakuzena dla zebrania danych na miejscu. Detale katastrofy, jako to nocny napad na kościół, akty osobistej zemsty p. gubernatora, katowanie włościan bez sądu, barbarzyński rabunek kozaków po zwycięstwie, są tak ohydne i tak kompromitujące rząd rosyjski, że p. Kantakuzen nie mógł być zadowolonym. Trzeba więc było go ułagodzić. Wziął to na siebie Orzewski i wybrał środek czysto rosyjski: dał ogromną łapówkę Kantakuzenowi.

Trzeba wam wiedzieć, że przy istnieniu prawa, zabraniającego całej prawie miejscowej ludności kupowania ziemi (włościanie mają to prawo, lecz ograniczone), cena na ziemię jest nadzwyczaj niską, kupców na nią bardzo niewiele. Otóż w tych właśnie czasach ogromne dobra Mostowskich musiały być sprzedane. Niejaki p. Bortkiewicz, Polak, zatem nie mający prawa do ziemi, postanowił je kupić, a że nie mógł dokonać tego na swoje imię, znalazł Rosjanina, p. Zandera, na

¹⁾ Więc odwróć się pan.

którego imię dokonał transakcji. Zaciągnął przy tym dodatkową pożyczkę z banku do wysokości dwustukilkudziesięciu tysięcy rubli i sam dopłacił 24 tysiące. Donos o tym wypadku poszedł do Orzewskiego. Gdy się p. Bortkiewicz o tym dowiedział, postanowił jak najprędzej sprzedać majątek z wolnej ręki, żeby nie doczekać się wmieszania się w to władzy i nie stracić przy pośpiesznej sprzedaży. Jeden z faktorów wynalazł kupca na majątek. Był nim kolega Orzewskiego, hr. Ignatjew, generał-gubernator kijowski. Na umówiony dzień do Wilna miał zjechać Ignatjew dla skończenia interesu. Dzień ten wypadł w czasie, gdy Kantakuzen był w Wilnie i Orzewski szukał sposobu złagodzenia wrażeń krożskich u p. naczelnika. Pyta go więc, czy nie chce on czasami kupić bez pieniędzy ogromny majątek w Zachodnim Kraju; dodać tu trzeba, że dobra były warte pół miliona rubli. Kantakuzen chętnie się na to zgadza, i p. Orzewski przystępuje do wykonania swego zamiaru.

Na dworcu kolei Ignatjewa spotkał plenipotent strony sprzedającej, adwokat Węśławski; umowa dochodzi do końca, gdy, jak deus ex machina, wpada na to p. Orzewski. Następuje nader komiczna scena, gdy Orzewski stara się zastraszyć Węśławskiego i usunąć Ignatjewa od kupna. Niektóre jej szczegóły są tak charakterystyczne, że opiszę ją bardziej drobiazgowo.

Między Orzewskim i Węśławskim zaszła następująca rozmowa:

— Pan jesteś adwokatem przysięgłym, więc musisz znać zapewne zakres mojej władzy? Ale pan, zdaje się, zapominasz, że oprócz władzy prawnej mam jeszcze ogromną władzę administracyjną.

— Wcale nie, Wasza Ekscelencjo, wiem o tym dobrze...

— To dobrze, ale czemu pan, adwokat, który składał przysięgę, że nie będzie postępował przeciwko prawu, pośredniczy w sprawie, gwałcącej to prawo?...

P. Węśławski się broni, że nic podobnego mu zarzucić nie można, że twierdzenie to opartym jest na przypuszczeniach tylko.

— Proszę dużo nie gadać, co wiem, to wiem dobrze. Pan zapewne znasz geografję, więc przypominam panu, że możesz nagle znaleźć się w takim miejscu, o którym i w geografii nie czytałeś. Pamiętaj pan, że ręka mi nie drgnęła, gdy podpisywałem wyroki śmierci, więc nie będę sobie robił ceregieli z waszym polskim geszefciarstwem. Kością w gardle mi ono staje. Tak... — p. generał wpada w ton patetyczny i, wskazując na wiszący w sali portret cara, mówi — tak, rzucę się przed nim na kolana i błagać go będę, by mi pozwolił w proch was zetrzeć...

Dalej Orzewski zwrócił się do Ignatjewa, ogromnie tą sceną zdziwionego, i prosił go, by ten ustąpił w sprawie kupna majątku, gdyż dobra te «są już przeznaczone dla ks. Kantakuzena». Ignatjew, rozumie się, zgodził się na to i wyjechał, otrzymawszy poprzednio obietnicę od p. Orzewskiego, że w zamian wkrótce otrzyma inny majątek, też na dogodnych dla niego warunkach. Później Orzewski wezwał do siebie pp. Bortkiewicza i Zandera i uprzedził ich, że w razie, gdy rzeczony majątek nie będzie sprzedanym Kantakuzenowi za cenę długu bankowego, zostaną oni wysłani do «miejsc może niezbyt oddalonych, lecz w każdym razie nieprzyjemnych». Cóż mieli robić ci panowie? Z jednej strony strata dwudziestu kilku tysięcy, z drugiej nieprzyjemna perspektywa zwiedzania krajów nieco oddalonych. Wybrano pierwsze — i w ciągu trzech dni ks. Kantakuzen, a raczej jego żona, gdyż transakcję spełniono na jej imię, została właścicielką ogromnych dóbr w Kraju Zachodnim, nie wydawszy na ich kupno ani grosza pieniędzy, dług bowiem bankowy, według zwyczaju, w całości został przeniesionym na imię nowej właścicielki. Takim był epilog sprawy w Krozach.

Gwałt i bezprawie w jednej sferze pociąga za sobą także gwałt i bezprawie w drugiej. Ileż tu ciekawych szczegółów! Mordy i pożogi wśród bezbronnej ludności, gwałcenie kobiet i w ogóle hulanie kozaków w czasie pokojowym, bitwa w kościele, męczeństwo za sprawy religijne, wysocy urzędnicy państwa, mającego pretensje do cywilizacji w. XIX, w roli — jeden oprawcy i kata, drugi — faktora, stręczącego korzystne interesy, rozuzdana i bezczelna samowola w sprawach cywilnych — wszystko to razem wyda się zapewne człowiekowi Zachodu czymś nieprawdopodobnym, snem ciężkim z dawno zapomnianej przeszłości — u nas, niestety, to gorzki chleb powszedni, to smutna rzeczywistość.

Rom.

KORESPONDENCJA Z «PRZEDŚWITU» Z MAJA 1894 R.

(nr 5, str. 30—31)

Wilno, 18 maja.

Gdyby ode mnie zależało kierownictwo sprawy rusyfikacji kraju tutejszego, doprawdy użyłbym do tego naszych klas uprzywilejowanych. Jesteśmy Polacy, a więc popędy stańczy-